

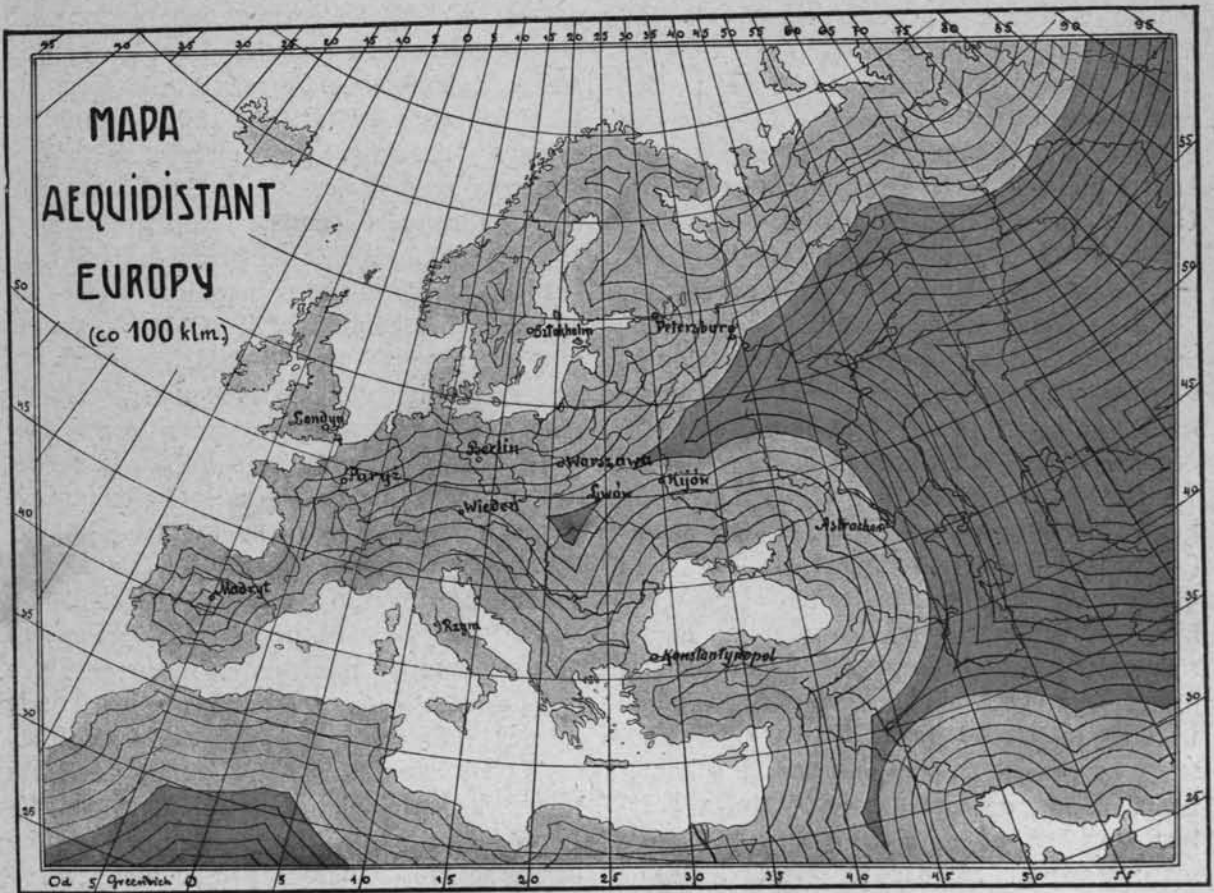


Polska, jako kraina przejściowa.

2)

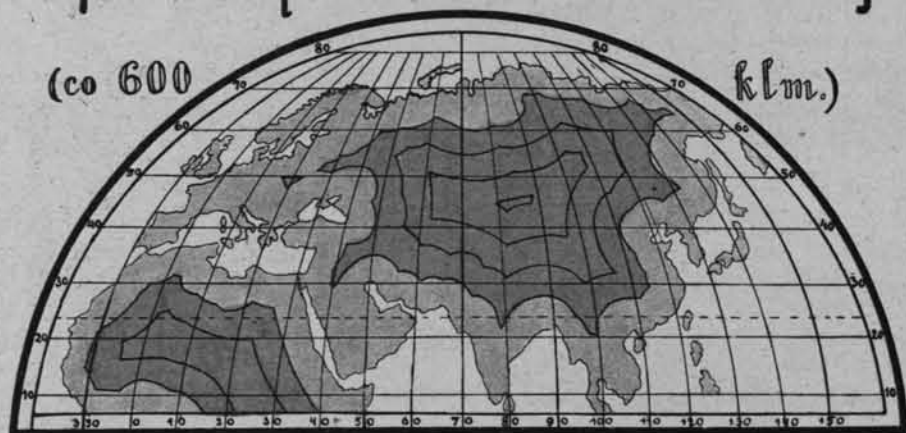
A położenie Polski jest właśnie centralne: leży ona pośrodku między najpółnocniejszym i najpołudniowszym punktem Euro-

py, między Nordkapem a Kretą, i prawie pośrodku między punktem najzachodniejszym w Irlandyi i najwschodniejszym na Ura-





Mapa aequidistant Eurazji



Widać tu mianowicie, że Polska dotyka na swej wschodniej granicy nad średnim Dnieprem aequidistanty azyatyckiej, kontynentalnej, a nawet w swym wnętrzu około Lwowa i źródeł Dniestru zawiera niejako wysepki jej odprysk — trójkątny obszar kontynentalny; tak iż położenie jej jest centralne nietylko w sen-

lu — nieco bliżej jednak Irlandyi; jestto więc położenie centralne z pewnym przesunięciem ku zachodowi, zwłaszcza co się tyczy Polski zachodniej.

Położenie centralne pewnego kraju można rozpatrywać jeszcze z innego punktu widzenia, mianowicie — jako położenie najbardziej śródlądowe, najbardziej oddalone od morza. Położenie to na wyspach zgadza się z położeniem centralnym geometrycznym, ale Europa nie jest wyspą, lecz półwyspem: na wschodzie zrasta się z wielkim lądem Azji; stąd w Europie miejscowość, najbardziej oddalona od morza, „centralna“, przypada nie w środku tej części świata, lecz na wschodzie, na Uralu. Jednakże bliższa analiza ujawni nam i pod tym względem położenie centralne Polski i pewną przejściowość tego położenia.

Zauważmy w tym celu, że położenie względem morza, stopień kontynentalności, ujawnia się najlepiej, za pomocą tak zwanych aequidistant Rohrbacha; są to linie jednakowej odległości od morza.

Na mapie powyższej widzimy największą kontynentalność Azji: ona jedna zawiera obszar (w Mongolii), objęty aequidistantą 2400 klm.; obszar, objęty następną aequidistantą 1800 klm., jest jeszcze wyłącznie azyatycki; dopiero obszar aequidistanty 1200 klm. wkracza do Europy wschodniej w okolicę Kazania; wreszcie obszar aequidistanty 600 klm., uważanej za granicę między morskością a kontynentalnością, dosięga naszego kraju, a przytym wysyła w jego wnętrzu trójkątną wysepkę. Widać to jeszcze lepiej na mapie Europy (str. 657).

się geometrycznym, jak to widzieliśmy wyżej, ale do pewnego stopnia i w sensie odległości od morza, w sensie stopnia kontynentalności. I to nowe położenie „centralne“ jest zarazem przejściowem — od zachodnio-europejskiej morskości do wschodnio-europejskiej kontynentalności.

Ale przejściowość położenia Polski wzrosła jeszcze bardziej, gdy traktować je będziemy nie geometrycznie lub kontynentalnie, wogóle — nie formalnie, lecz geograficznie, t. j. konkretnie: przejściowość formalna może w rzeczywistości nie mieć komunikacyjnego znaczenia, gdy rzeczywistość geograficzna przedstawia warunki antykomunikacyjne (pustynie, bagna, niedostępne góry) lub gdy jednostajność płodów w krajach okolicznych nie przedstawia impulsu do wymiany, a więc i komunikacji. Otóż w danym razie, t. j. co się tyczy Polski, to rzecz ma się przeciwnie: nietylko komunikacyjność terenu jest tu dogodna (o czym jeszcze powiemy niżej), ale prócz tego Polska leży między obszarami ekonomicznie i kulturalnie bardzo różnymi, między którymi istnieje silny impuls do wymiany, podobnie jak między masami powietrza o bardzo różnym ciśnieniu, między którymi musi przyjść do wymiany za pomocą prądów powietrznych; energia tych prądów mierzy się, jak wiadomo, wielkością różnicy ciśnienia na jednostkę odległości, czyli — tak zwanym gradientem; jeżeli ten termin meteorologiczny przeniesiemy na stosunki kulturalne, to będziemy mogli powiedzieć, że Polska, leżąca pośród różnych kultur północy i południa, oraz wschodu i zachodu,



leży na krzyżownicy silnych gradientów kulturalnych, a więc i komunikacyjnych. — Leży ona mianowicie między ubogą i chciwą niegdyś łupów skandynawską północą a bogatym niegdyś bizantyjskim południem, oraz między przemysłowym, wyższym kulturalnie zachodem a nawpół azyatyckim wschodem o płodach surowych i niskiej kulturze.

Te różnice wywołały napięcia komunikacyjne, które szukały wymiany, zwłaszcza w kierunku z zachodu na wschód, jako przedstawiającym mniej przeszkód (brak gór i mórz), szukały wymiany zarówno wojennej, jak i handlowej. To uczyniło Polskę krainą przemarszów i handlu przewozowego.

Te warunki wywołały naprzykład przemarsze Normannów ze Skandynawii do Bizancjum przez wschodnią część dawnej Polski. Okolicznością wyjątkową, która przyczyniła się do wywołania stosunków handlowych między Północą i Południem był bursztyn nadbałtycki, produkt ceniony niegdyś na południu śródziemno-morskim, jako ozdoba; wywołał on ruch handlowy między Północą i Południem zarówno przez wschodnią część naszego obszaru od Bramy Czarnomorskiej (droga Grecka), jak i przez zachodnią od Bramy Morawskiej (droga Rzymska). Dziś bursztyn utracił wiele na wartości, południe Bizantyjskie upadło, a północ Skandynawska wzniosła się kulturalnie, więc natężenie komunikacyjne w tym kierunku osłabło; a to tembardziej, że udoskonalenie żeglugi ułatwiło stosunki północno-południowy był nawet już i dawniej, mimo silnych kontrastów, osłabiony wielką odległością Skandynawii od Grecji. Natomiast kontrast Wschodu i Zachodu, utrzymuje się wciąż i czyni dotąd Polskę drogą handlu przewozowego.

Zobaczmy teraz, jak przejściowość ujawnia się w ukształtowaniu poziomem.

Pod tym względem Europa składa się

z dwóch części: wschodniej, prostokątnej, masywnej, kontynentalnej, zrosniętej z kontynentem Azji, oraz — zachodniej trójkątnej, półwyspowej, rozczłonkowanej, europejskiej par excellence. Linia, dzieląca te dwie części, biegnie od ujścia Niemna do Bałtyku wzdłuż wschodniej części łuku Karpackiego do ujścia Dunaju do morza Czarnego. Polska leży po obu stronach tej linii; część jej zachodnia, węższa, rozciągająca się od gór Sudecko-Karpackich do morza Bałtyckiego, jest zachodnio-europejską; część położona na wschód od tej linii, rozszerzona od morza do morza od Bałtyckiego do Czarnego, jest wschodnio-europejską.

To przejście od półwyspowości do kontynentalności da się też wyrazić graficznie za pomocą aequidistant, jakieśmy to widzieli powyżej (str. 657).

Polska, stanowiąc przejście od Europy półwyspowej do kontynentalnej, zajmuje miejsce w nasadzie półwyspu zachodnio-europejskiego, zajmuje względem niego stanowisko takie, jak nizina Lombardzka względem półwyspu Apenińskiego, Indostańska względem Dekanu, jak nizina rzeki Jalu względem Korei. — Są to wszystko naturalne i odwieczne bojowiska, na których rozstrzygały się losy odpowiednich półwyspów. Polska dzięki temu stała na straży kultury półwyspu zachodnio-europejskiego przeciw wschodnim azyatyckim barbarzyńcom. Wprawdzie to stanowisko u nasady półwyspu zachodnio-europejskiego Polska dzieli z drugim krajem — z bliźniem Węgrami; ale kraj ten, szczelnie zamknięty górami, ostro ograniczony, że tak powiem zaułkowy, nie jest krajem przejściowym cechowo, a i dla komunikacji, jako zamknięty górami, stawia silne przeszkody i rzadko tylko i tylko dzięki nici Dunajowej, zapętanej zresztą w Żelaznej Bramie, grał rolę komunikacyjno-przejściową. Madjarowie ugrzęźli w nim, jak ryby w saku, a Turcy pociągnęli wprawdzie raz aż pod mury Wiednia, lecz nie dalej; a rzecz charakterystyczna: i tutaj stawili im czoło Polacy, jako naturalni obrońcy półwyspowej Europy.

(d. c. n.).

Wacław Natkowski.



Z dziejów Krakowskiego Przedmieścia. ²⁾

Po dwóch krańcach dzisiejszej ulicy stały już dwa kościoły, Bernardynów i Świętokrzyski. Pierwszy wzniesiony jeszcze w r. 1454 przez Annę, księżną mazowiecką, był drugim z rzędu klasztorem bernardyńskim w Polsce, był też pamiątką przygasającej już, a jeszcze niekiedy żywszym strzelającej płomieniem żarliwości religijnej średnio-więcza, był jakby odbłaskiem wrażenia, które złotousty wymowa Jana Kapistrana uczyniła na książęcej fundatorce w Krakowie. Pomimo parokrotnych pożarów, które go doszczętnie niszczyły, powstawał zawsze jak feniks z popiołów, powstawał nawet w coraz większej i wspanialszej postaci. W półwieku po pierwszych zaczątkach znajduje drugą protektorkę także Annę i także księżną mazowiecką, matkę ostatnich dwóch książąt na dzielnicowym stołcu warszawskim. Na schyłku XVI stulecia zastępuje ją trzecia Anna, ostatnia z Jagiellonek na tronie polskim, a zastępuje tak gorliwie, że nietylko dopomaga kieszenią, ale osobiście pilnuje i strofuje tych, co się na nabożeństwa założonego przez nią bractwa lenią przychodzić. To też klasztor nietylko rośnie w mury i skarby, ale i cieszy się coraz większą wziętością, zwłaszcza kiedy ściągać do niego wiernych zaczyna najprzód sława, potem wspomnienie błogosł. Ładysława z Gielniowa, słynnego kaznodziei, który się miał jakoby tak w natchnieniach swych zapamiętywać, aż go widziano unoszącym się nieco nad ziemię. Nawiasem powiedzmy, był to też jeden z pierwszych co do czasu poetów naszych, którego proste, ale niepozobawione kwiatów polnych zapachu i uroku pieśni nabożne długo jeszcze krążyły pod strzechami dworów, domów i chat polskich. Czy zakon na równi z rozkwitem materyalnym żył również szerzej pojęciem życiem umysłowym—trudno dzisiaj ustalić; godzi się jednak zaznaczyć, że w połowie XVII w. miał bibliotekę wartującą 30,000 złp. ówczesnych, zatem jakiej nietylko żaden z klasztorów nie posiadał, ale jakich w całej Polsce było niewiele.

Skromnym jeszcze natomiast i szczupłym, kaplicą raczej niż kościołem, był w owe czasy wznoszący się na samym krańcu przedmieścia Ś-ty Krzyż, dzieło pobożności i potrzeby mieszczan warszawskich, w przeciwieństwie do książęcych bernardyńskich fundacji. To zaś, co się między tymi dwoma krańcami wznosiło, było zapewne niczem więcej, jak rzędem zwykłych dworów drewnianych, rozrzuconych bez planu wśród ogrodów, którymi przedmieścia Warszawy podówczas nawet

na dalekim zachodzie sływały. Rzeczą jest więcej niż wątpliwą, żeby tam już wówczas — w XVI st.— wznosić się mogło coś pod względem budownictwa lub zamożności znakomitego, pewnem natomiast jest niemal, że ulica była niebrukowana, skoro wszyscy tak obcy, jak swoi na błotnistość przedmieść narzekają i skoro w samym nawet mieście bruki z cegieł i okruchów granitu czerwonego są wprawdzie kładzione, lecz niegodziwie i gwałtu o naprawę krzyczące.

Dopiero za Zygmunta III, kiedy na samym już schyłku XVI st. miasto jeśli nie za stolicę, to rezydencję królewską zostało uznane, kiedy mu przybył dwór, a nieco wcześniej przybyły sejmy, zaczął się i widok przedmieścia odmięniać. Szczególnem a ważnem w danym wypadku zrządzeniem losu zbiegło się to z ostatetecznem pogńębieniem miast i chłopstwa w Polsce, z najwyższym rozkwitem swobód i bogactw stanu szlacheckiego, który wprawdzie dla bliskości dworu osiedla się w mieście coraz liczniej, ale nietylko że w nie nie wsiąka, ale tworzy w niem ostro odgraniczone wysepki—jurydyki i nadaje mu swój własny wyraz. To też rozszerzenie się Warszawy wzdłuż brzegu rzecznego ma charakter nie tyle naturalnego wylewu nadmiaru życia, które się w dusznych i zbyt ciasnych murach miejskich nie może pomieścić, ile powstawania innego, zasadniczo odrębnego środowiska, przypadkowo tylko z pierwszym związanego i przypadkowo mieszkańców dwóch różnych światów na swoim terytorium łączącego.

O tej Warszawie, o stolicy państwa, które do najwyższego, jeśli nie duchowego to materyalnego, dochodziło rozkwitu, a które się niebawem miało potknąć na pierwszym straszliwym progu kataklizmów dziejowych, o Warszawie z połowy XVII wieku mamy już daleko bliższe i bardziej szczegółowe pojęcie. Służą nam ku temu znakomitą pomocą taryfy miejskie czyli spisy domów, które wówczas zaczęto sporządzać, służą plany i widoki miasta, jakich za czasów uprzednich był z czasów Batorego zaledwie jeden, służy w pierwszym rzędzie nieporównany, jedyny w swoim rodzaju pierwszy przewodnik po Warszawie, jakim był rymowany „Gościniec abo opisanie Warszawy 1643 r.“ Adama Jarzębskiego, muzyka i budowniczego Władysława IV. Dzięki odszukaniu jedyne-go całkowitego egzemplarza i wydaniu przez ś. p. Adama Krasieńskiego wiernego przedruku tego nieoszacowanego dla dziejów Warszawy źródła

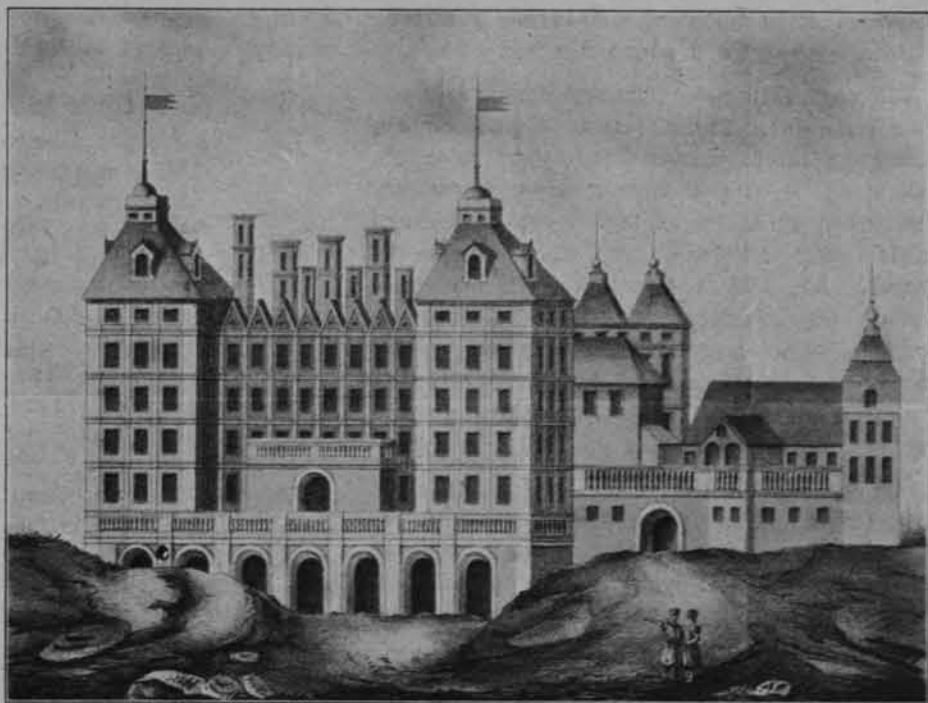
możemy sobie o mieście, jakim było w ostatniej niemal chwili przed katastrofą szwedzką, wyrobić dość dokładne pojęcie.

A że „Gości-niec“, który opisuje drobiazgowo ulicę za ulicą, dom za domem, a w razie potrzeby pokój za pokojem, prawie trzecią część swojej objętości poświęca Krakowskiemu Przedmieściu, nie tylko pozwala nam to dzisiaj obeznać się z tą ulicą lepiej, niż z jakąkolwiek bądź inną, ale i daje zarazem

pewną miarę znaczenia i świetności dzielnicy, która forsownym krokiem wybijała się do pierwszego szeregu.

Idźmy zatem chwilę za jego przewodem.

Obszedłszy rynek staromiejski i nowoprzebudowany zamek, którego część najstarsza, książęca, ciągnęła się ku Kanoniom, a wyniosła „zygmuntowska“ wieża z zegarem liczyła dopiero 14 lat swego istnienia, Jarzębski wychodzi z miasta Bramą krakowską. Są jeszcze być może ludzie, którzy tę bramę zachowują w pamięci, którzy ją widzieli na własne oczy, zburzona bowiem została dopiero w r. 1818 razem z częścią murów miejskich, które od uliczki Ślepej ku Zamkowi ciągnęły się. O położeniu jej nabrać możemy wyobrażenia pamiętając, że według współczesnego a ścisłego opisu kolumna Zygmunta stała w odległości 40 łokci koronnych od bramy, a ośmiu od samych murów. Mówimy „murów“, bo istotnie było ich dwa równoległe do siebie z wolnem pośredku „międzymurzem“ 25 łokci szerokości liczącem. Wolnem niestety tylko w zasadzie, w praktyce bowiem tak zewnątrz, jak wewnątrz murów cisnęło się niemal przez cały ciąg istnienia miasta mnóstwo domostw i bud, z których nieprawem istnieniem napróżno walczyły rozporządzenia nie tylko magistrackie, ale i królewskie. W tym jednak właśnie czasie—w roku 1643—miejsce było już zapewne oczyszczone ze szpetnych a niepotrzebnych dodatków, boć już w rok później sta-



PAŁAC KAZANOWSKICH.

Z widoku Warszawy z r. 1656 Eryka Dahlberga.

nać na niem miała kolumna Zygmunta, gwoli czemu król Władysław domy, dworki i grunty skupował i burzył. O tej, jeszcze nieistniejącej kolumnie, nie wspomina wobec tego Jarzębski zupełnie, mamy o niej na szczęście wiadomości skądinąd do syta.

Przedewszystkiem chciał ją pierwotnie stawiać nie Władysław lecz Zygmunt i to o 40 lat wcześniej, niż ostatecznie stanęła. Można się ze względu na datę domyślać, że miała ona utrwalić w pamięci potomnych walne zwycięstwo królewskie nad rokoszem Zebrzydowskiego i że właśnie może dlatego, dla niedrażnienia opinii tłumów szlacheckich—nie stanęła. Bądź co bądź kolumna była wydobyta (z kopalni checińskiej, z góry do dziś dnia zwanej „zygmuntowską“), a jak szeroko i po królewsku zakreślony był zamiar, świadczy o tem fakt, że pierwotnie miała być dwa razy niż obecnie jest wyższa, że przeto górowałaby znacznie nad wszystkimi innymi budowlami Warszawy. Niestety, przy obróbce słup podległ pęknięciu i do Warszawy udało się sprowadzić Wisłą z niemalym jak na owe czasy trudem jedną tylko jego połowę, na której, zaniechawszy pierwotnych planów ojcowskich, wystawił król Władysław lany na miejscu przez Daniela Thiema Jego Królewskiej Mości konwisarza, posąg Zygmunta III. Kolumna ta dotrwała w stanie pierwotnym, z nieuchronnymi jedynie ze względu na zniszczenie poprawkami, do r. 1885, w którym to roku zamieniono ją inną z granitu śląskiego z zachowaniem pier-

wotnych części metalowych i dodanych w r. 1855 trytonów, rzygających u podnóża posągu wodą¹⁾.

Tuż w pobliżu fundamentów kolumny szły pod ziemią pierwotne, także jeszcze zygmuntownskie, wodociągi z rur sosnowych kładzione, które dla braku studni w obrębie samego zamku sprowadzały mu wodę ze źródeł na terytorium dzisiejszego szpitala ewangelickiego przy ulicy Karmelickiej leżących. Ale i o tych wodociągach Jarzemski, może dla tego, że leżały ukryte pod ziemią, nie wspomina, opisując natomiast szeroko to, co się nawet w znikomej postaci zbutwiały rur nie dochowało, a co stało na miejscu spływającego dziś szerokim korytem ku Wiśle Zjazdu.

Stał tam mianowicie, w miejscu, gdzie teraz t. zw. „domek żelazny“, niewielki kościółek św. Klary z zakonem Bernardynek, wzniesiony 1609 roku, a zburzony też już w czasach najnowszych w r. 1844, choć kościołem być przestał już w 1819, po kasacie zakonu ustępując miejsca konserwatorium muzycznemu, a później koszarom. Nieco niżej ku Wiśle mieściło się Zgromadzenie Panien i Wdów, których budynki zmiotła z powierzchni ziemi pierwsza nawałnica szwedzka, a które upamiętniły się w dziejach miasta chyba tylko zażartymi swarami o grunty z sąsiadkami od św. Klary.

Za klaryskami dopiero stał na tem samym, co dziś stoi miejscu, choć w zgoła odmiennym kształcie kościół z klasztorem Bernardynów. Nie zachował się z owych czasów żaden wizerunek kościoła²⁾, któryby o jego postaci zewnętrznej, nie mówiąc o wnętrzu, dawał dostateczne pojęcie; dzięki też tylko Jarzębskiemu i kronikom klasztornym możemy sobie to jako tako uzmysłowić. Sklepienie było łukowe, śmiało i wysoko rzucone, kościół przedzielala krata „piękna, zacna w głębokości“, nawet kazalnica była tak wysoko okratowana, że mówcę mało co było widać. Wzdłuż ścian spływały zwyczajem ówczesnym chorągwie, poświęcone pamięci zmarłych, których tu pogrzebano, od sklepienia zwieszony bujał drewniany, złożony orzeł, znak łaski i hojności monarszej. Hucznym,

¹⁾ Pierwotna kolumna chełcińska znajduje się obecnie w podwórzu gmachu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

²⁾ Chyba na ogólnych widokach Warszawy, z których jeden umieszczony był w N-rze 41 „Ziemi“.

w różne barwy malowanym organom wtórowały dzwony, przedmiot szczególnego podziwu Jarzębskiego, który mówi:

„dzwon niesłychany
„Ma głos wdzięczny, ukochany,
„Dwie oktawy, jedna niższa,
„Ogromna, i druga wyższa,
„To u mnie cud i rzecz dziwna
„O tym dzwonie i przeciwna:
„Troszeczkę świata zwiedziłem,
„Po cudzych stronach jeździłem,
„Byłem w Warce i w Goszczynie,
„W Małogoszczu, Garwolinie,
„Ba i w Czarsku: nie widziałem!“

Ale tuż obok, o ścianę, stał już wówczas gmach, który miał pocziwego muzyka i budowniczego J. K. Mości wprawić w znacznie wyższy stan zachwyty, gmach, który istotnie podówczas był jedną z celniejszych ozdób miasta, przedmiotem podziwu najpolerowniejszych cudzoziemców, rywalem wszystkich innych wspaniałości stołecznych, nie wyłączając zamku i pałaców królewskich. To tyle głośny pałac Adama Kazanowskiego, Marszałka Nadwornego i szczęśliwego „kochanka królewskiego“. Zwiedzać go idąc, jak nasz przewodnik, cał za całem, byłoby nieco przytrudno, w każdym zaś razie przydługo i nieco przyciężko. Poprzestańmy na przypomnieniu, że p. de Laboureur, sekretarz p. de Guébriant, ochmistrzyni Maryi Ludwiki stwierdza, iż „Włochy, któreśmy potem widzieli, nic tak okazałego nie mają, ani prawdziwie pańskiego“ i że się dwornemu Francuzowi wydało, iż jest „przeniesiony we śnie do jakiegoś czarodziejskiego pałacu“.

Odkładając na bok naiwne nieco egzaltacje Jarzębskiego i dworackie dusery Laboureura, zdaje się, że istotnie krótkotrwałe lecz świetne arcydzieło Kazanowskich mało przedtem i potem miało równych sobie na ziemiach polskich. Nietyle zapewne przez swój ciężki nieco, zgruba ciosany wygląd zewnętrzny, zamczyśko jakieś raczej, niż wytworny pałac przypominający i niekoniecznie z punktu widzenia dzisiejszych bardziej wstrzeźmięzliwych i spokojnych pojęć o sztuce urządzenia mieszkań, jak przez nagromadzenie mnóstwa cacek i arcydzieł, istotnych dzieł sztuki i sprzętów, które same przez się sporego majątku warły.

(c. d. n.).

St. Thugutt.



KARPATY.

I. Położenie.

Na pograniczu dwu połaci Europy — zachodniej górzystej, urozmaiconej, i wschodniej — niżowej, jednostajnej — piętrzy się łuk gór karpaccich, ciągnący się 1300 kil. (180 mil), silnie wygięty i wsparty w dwu końcach na Dunaju: na półn. zach. pod Preszburgiem, gdzie po drugiej stronie przypierają rozgałęzienia Alp Wschodnich i na połdn. wsch. pod Orsową, gdzie naprzeciwko stoją odnogi gór Bałkańskich. W ten sposób Karpaty są jednym z ogniw największego górotworu europejskiego.

Łuk Karpat ukształtował się w osobliwszy sposób. W środku jest on wązki, a na dwu końcach rozszerza się w dwie wyżyny różnej formy i plastyki. Bo gdy wyżyna Siedmiogrodzka zbliża się kształtem do trójkątu, wyżyna Słowacka jest owalna, gdy pierwsza tworzy kotlinę, bo środek jej jest otoczony wysokimi górami, to wyżyna Słowacka, złożona z szeregu mniej więcej równoległych łańcuchów górskich, pośrodku najwyższej piętrzy się w śnieżnych lub nagich turniach tatrzańskich.

Łukiem swym objęły Karpaty od południa rozległą, stepami porośłą równinę Węgierską, a odchyliły się od niżu Polskiego na północy i niezmiernych równin Europy wschodniej na zachodzie. Na zachodzie (lepiej póln. zach.) Karpaty tak bardzo zbliżają się do Wyżyny Czeskiej, iż zdawałoby się tworzą jedną z nią całość. Ale badania tych okolic wykazały jawnie, iż są to dwie różne zupełnie górskie krainy, rozdzielone łąkiem zaledwie do 300 metrów nad poziom morza wzniesionym, który otrzymał miano bramy Morawskiej, otwierającej drogę z niżu Polskiego do nizin Naddunajskich.

Jest to odwieczny szlak handlowy, wojskowy i wogóle kulturalny. Tędy dążyli Rzymianie po bursztyn do wybrzeży Bałtyku, ku końcowi X w. posunął się tędy Bolesław Chrobry i odjął część Moraw. W czasie wojen husyckich i 30-to letniej Brama Morawska była areną walk.

Przez tę bramę ciągnął Jan Sobieski pod Wie-



deń. W czasie wojen napoleońskich wojska rosyjskie tędy przeszły na południe. Obecnie tak ważna droga została udoskonalona przez przeprowadzenie linii kolejowych, dążących w stronę Wrocławia, Krakowa, Wiednia i Koszyc, a punktem węzłowym jest Bogumin nad Odrą.

Podobnie na przeciwnym krańcu gór Karpaccich mamy Bramę Naddunajską, znacznie od pierwszej szerszą, która otwiera drogę na półwysep Bałkański.

W ten sposób Karpaty, zewsząd niewysokimi równinami otoczone, można obejść dokoła, nie wchodząc wyżej ponad 300 metrów.

Obszar przez Karpaty zajęty obliczają na 187000 klm. kw. (3460 mil), a więc niemal półtora razy większy od Królestwa Polskiego.

My poznamy tylko tę część gór karpaccich, która przypiera do Galicyi i Śląska, a więc od okolic źródlowych Beczwy, dopł. Morawy, i Ostrawicy, dopł. Odry, do Prutu i obu jego Czeremoszów, t. j. wzdłuż linii mniej więcej 600 kilom. długości mającej.

Ale gdy dawniej geograf mógł mówić tylko o zewnętrznych cechach krainy, by stwierdzać, że „tak jest“, to dzisiaj ma obowiązek wnikać w treść sprawy, badać genezę, dociekać: „dlaczego tak jest“; geograf poznaje przeszłość, by zrozumieć stan teraźniejszy.



HUCULKA Z DORY.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

II. Pochodzenie.

Dzieje geograficzne tego kawałka ziemi uczą nas, że tu, gdzie dziś śmiało w obłoki strzelają szczyty tatrzańskie, gdzie urwiste zbocza Pienin świecą często łysinami, gdzie gromadzą się zao krąglone garby karpackie — w dawniejszych epokach geologicznych bywały i łądy i morza, a w nich i na nich osadzały się warstwy tych skał organicznego i nieorganicznego pochodzenia, które stanowią dzisiaj treść skalną gór karpackich. Góry te są młode, zarówno jak Alpy i Bałkany. Dopiero bowiem w pierwszej połowie ostatniego okresu (neozoicznego) mianowicie w systemie trzeciorzędowym zwanym, siły wewnętrzne zaczęły garbić i fałdować dno ówczesnego morza, aż wyłoniły się zupełnie łańcuchy i stanęły góry „jak potopu świata fale zamrożone w swoim biegu“.

Sił górotwórczych dokładnie nie znamy, ale powszechnie przypuszczają, iż mają one źródło w wysokiej temperaturze wnętrza ziemi.

Rozżarzone jądro ziemi ochładza się i przez to zmniejsza swą objętość, a skorupa ziemi musi się doń dopasowywać, więc tu garbi się i wygina, tam zapada i wgina, to znowu pęka — jednym słowem tworzy nierówności, a wypiętrzone fałdy jej są właśnie górami.

Owe wyłaniające się fałdy Karpacie nie miały zupełnej swobody ruchu. Na północy spotkały pas starszych już wyżyn południowych: Śląsko-Małopolskiej i Lubelsko-Podolskiej, które nie pozwoliły im rozwinąć się w linii prostej, lecz zmusiły do wygięcia się w łuk.

Prócz tego fałdy zewnętrzne przy spotkaniu tego progu starszego, przyciotły go swym ciężarem i wgięły tak, iż wzdłuż północnej krawędzi Karpat powstała wielka bródza, wypełniona początkowo wodami ustępującego morza, następnie osadami jego i rzek z sąsiednich wyżyn płynących, a wreszcie wodami górnej Wisły i Dniestru, które w dwie przeciwnie strony płyną do Bałtyku i morza Czarnego.

Inaczej miały się rzeczy po stronie południowej — wewnętrznej. Tu fałdy zbyt sparte piętrzyły się, czasami kładły i przesuwaly ku północy, to znowu całe łańcuchy górskie zapadały się, pochłonięte i zagrzebane pod niżem Węgierskim. Ale gdy takie masy skorupy ziemskiej zapadły się do jej wnętrza, to natomiast magma wypływała szczelinami na powierzchnię, tworząc całe grzbieity lub poszczególne stożki zastygłej lawy. I sterczą one niby naturalne pomniki i nagrobki na tem strasznym cmentarzysku skalnym na północy niżu Nadcisańskiego.

Tak się wyłoniły z mórz dawniejszych Karpaty. Tak się one narodziły. A jak każdy organizm z chwilą swych urodzin skazany jest na śmierć — na szczęście w terminie niewiadomym — tak samo i góry pod wpływem sił wewnętrznych powstałe, stają się terenem działalności sił zewnętrznych, które na całość wspaniałych ich kształtów czyhają, powoli ale stale niszczą, aż wreszcie zagładę zupełną sprowadzają.

Wyłaniające się fałdy im wyżej się piętrzyły, tem w chłodniejsze sięgały sfery. Chmury, pędzone przez wiatry, coraz więcej potokami deszczów owe góry zalewały lub całunami śniegów okrywały, a wody z nich płynące po zboczach rozpoczęły

straszliwą a nieustanną pracę żłobienia, splukiwania, rzeźbienia.

Nagie szczyty i zbocza, poddane zmianom temperatury i innym czynnikom atmosferycznym, pękały, rozkruszały się — wietrzały, dając pulchniejsze posłanie dla przybywających z wiatrem nasionek, które powoli rozwijając się, mnożąc, pokryły zbocza gór piękną szatą, a czerpiąc pokarm z podłoża, także je niszczyły powoli.

Karpaty przystroili się w żywą szatę roślin i zwierząt—zakwitły. Stan ten odświętnego przybrania trwał stosunkowo niedługo. Przyszła epoka lodowcowa — chłód zmroził wody i całun śnieżno-lodowy rozpostarł swe panowanie w wielu miejscach gór.

Spływające po zboczach lodowce ciągnęły dzieło zniszczenia, ścierając, żłobiąc doliny i kotliny, u podnóża składając materiał górski, rumowisko skalne. Lodowce wykonały olbrzymią pracę. A gdy nareszcie pod wpływem zmiany temperatury stopniały w Karpatach, znowu zaroily się rzeki, porosły lasy, przywędrowały zwierzęta i do dziś utrzymują się mniej więcej w tym samym stanie.

Dzisiejszy więc wygląd, dzisiejszy cały krajobraz górotworu Karpackiego jest wynikiem dwu sił działających wrogo, rezultatem walki sił budujących wewnętrznych i niszczących zewnętrznych. A te ostatnie choć w pierwszych chwilach swej nieskończonej długiej i mozolnej działalności rzeźbią, urozmaicają, nadają malowniczą, młodzieńczą cechę gór, to jednak w miarę dłuższego ich życia, coraz bardziej znoszą wzgórza, doliny zasypują—jednym słowem niwelują. O ile naturalnie siły wewnętrzne górotwórcze przeciwdziałania im nie dają, piętrząc i podnosząc niszczone przez nie zbocza.

Tak więc dzieje gór, warunki ich powstawania tłumaczą nam zgruba ogólny kształt Karpat: układ głównych fałd i dolin pierwotnych, oraz większe lub mniejsze wzniesienia, a badania nad działalnością atmosfery i wód płynących po zboczach wyjaśniają ich rzeźbę zewnętrzną, więc charakter dolin wypłukanych oraz kształty grzbietów, szczytów i boków.

III. Budowa.

Skutki działalności sił zewnętrznych są zależne w znacznej mierze i od materiału, z którego Karpaty są zbudowane.



HUCUŁ Z DORY.

Fot. ze zbiorów Pol. Tow. Krajozn.

Budowa Karpat jest dość jednolita szczególnie od północy. Zwierchnie warstwy łańcuchów polskich są prawie wyłącznie zbudowane z piaskowców, tu też fałdy tworzyły się bardziej prawidłowo. Zaś od strony Węgierskiej z powodu licznych pęknięć, zapadnięć i osunięć występują obok piaskowców i wapień i różnorodne skały lite, a wreszcie zastygłe, wybuchowe lawy.

Piaskowiec jest w większości wypadków skałą kruchą, poddającą się silnie wietrzeniu. To też wszystkie ostre kanty, powstałe wskutek rzeźbiącej działalności wody bieżącej, prędko kruszą się, rozsypują, a przez to zaokrąglają. Dlatego to właśnie zbocza gór Karpackich mają charakter lekko spadzisty, szczyty występują kopulaste, podobne do kopców, jednym słowem w formach łagodnych, zaokrąglonych. Wprawdzie taki krajobraz gór jest mniej piękny, natomiast dla człowieka ma cechy pożyteczniejsze, bo rolnik łatwiej opanować może tak łagodne zbocza i niszcząc lasy zakłada uprawne pola tak wysoko, jak może nigdzie w Europie.



NA DRODZE
PRZEZ CIUCHÓW-WIERCH.

Fot. Z. Sosnowski.

Budowa gór Karpackich pozwala nam także wyjaśnić gatunek gruntów rodzimych, t. j. po-

wstałych ze zwietrzenia skał niżej leżących. Są bowiem i w Karpatach grunty nawiane—obce—np. lesy — żółtoziemy. Piaskowiec bowiem jest to skała spójna powstała z piasku, którego ziarna zostały spojone, zlepione np. mułem, gliną. Więc, gdy piaskowiec zacznie wietrzeć i na niezbyt stromych zboczach rozsypie się, to ziarenka piasku, jako zupełnie luźne zabierze woda, zostanie zaś glina, jako bardziej spojona. Stąd też na zboczach Karpat często występują grunty gliniaste, które tembardziej zachęcają rolnika do ich zużytkowania.

To też, gdy jedziemy koleją pomiędzy grzbietami gór Karpackich, widzimy z okien wagonów garby mniej lub więcej wzniesione o zboczach łagodnych, czasami ciemnym lasem porośnię, czasami uprawne, pokryte wyraźną szachownicą „pól, malowanych zbożem rozmaitem“.

(c. d. n.).

Paweł Sosnowski.

Nafta i wosk ziemny w Galicyi. ⁵⁾

Pomijam już to, że późniejsze badanie Gümbla wykazały zupełny brak związku między t. zw. wulkanami błotnymi a wulkanami w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale nadto, jak trafnie Zuber zaznacza, w Galicyi wulkanów błotnych nie spotykamy, stąd też hipoteza Mendelejewa dla Galicyi absolutnie zastosowania mieć nie może. Pomijając już hipotezę Berthelota, oraz teorię emanacyjną Byassona¹⁾, które bujają zanadto w sferach abstrakcyjnej chemii, wspomnę tu jeszcze o teorii Dumasa i Bunsena, która stanowi już przejście do drugiej grupy hipotez, wyprowadzających naftę z rozkładu związków organicznych.


Zdaniem Bunsena gaz błotny i inne pokrewne węglowodory, powstałe w głębinach ziemi wskutek fermentacji gnilnej ciał organicznych, zagęszczone w węglowodory o większej ilości atomów węgla, zostają pochłonięte przez sól kamienną; sól kamienna rozpuszcza się w wodzie podziemnej, a gaz w niej zawarty ucieka i pod wielkim ciśnieniem skrapla się w płynne oleje. Aczkolwiek niezaprzeczenie teoria ta wiele ma za sobą, dla Galicyi trudno ją przyjąć, gdyż w najbogatszych w gazy pokładach soli w Wieliczce nie znaleziono śladów ropy naftowej.

Wogóle teorie, które pochodzenie nafty tłumaczy rozkładem ciał organicznych, roślinnych, czy zwierzęcych, większem uznaniem cieszą się w całym świecie naukowym. Jeszcze Hochstetter, który w roku 1865 zwiedzał galicyjski obszar ropodajny, przyjmował, że źródłem nafty są zapewne pokłady węgla kamiennego, ciągnące się pod piaskowcem karpackim, a które można uważać za przedłużenie pokładów morawsko-ostrowskich. Pokłady te przez suchą destylację dają naftę, która szczelinami wsiąka do wyżej położonych pokładów porowatego piaskowca. Przeciwno temu pogładowi przemawia jednak fakt, że w pokładach węgla w Galicyi, jakie spotykamy pod Sierszą i w Jaworznie, nafta nie występuje wcale w obfitszych ilościach, nadto wogóle chemicy kwestyonują fakt, aby sucha destylacja węgla mogła dawać naftę.

W nowszych czasach Olszewski wznowił teorię Hochstettera, z tą zmianą tylko, że źródło nafty galicyjskiej nie w pokładach naftowych, ale w starszych, t. j. sylurskich umieszcza¹⁾. Olszewski uważa bowiem za rzecz niezbyt prawdopodobną, aby szczątki organiczne, nagromadzone w mło-

¹⁾ F. Fischer, l. c.

¹⁾ Kosmos 1881 r. Olszewski: Przyczynki do teorii pochodzenia nafty w Galicyi.



dszych utworach, mogły wystarczyć do wytworzenia bogatszych pokładów nafty. Stąd, też szuka większej masy organizmów w formacjach starszych i ostatecznie dochodzi do wniosku, że bogate w organizmy pokłady sylurskie w rozwinięciu podolskiem są głównym źródłem nafty galicyjskiej, która przez suchą destylację ich szczątków organicznych powstać mogła¹⁾.

Zgadzać się jednak nawet na to, że nafta jest wogóle pochodzenia organicznego, stajemy znowu wobec pytania, czy szczątki roślinne, czy raczej zwierzęce uważać możemy za materiał powstania bogatych pokładów oleju skalnego Galicyi. Według Hunsta olej skalny miał powstać głównie z roślin morskich, a zapatrywanie to popierał u nas znakomity chemik Radziszewski²⁾, opierając się głównie na badaniu źródeł mineralnych i gazowych w Iwoniczu. Oddawna bowiem zauważono związek genetyczny między naftą a źródłami słono-alkalicznymi, co zwłaszcza w Iwoniczu szczególnie rzuca się w oczy. Takie same źródła słone a nadzwyczaj w gazy obfitujące spotykamy również w Bóbrce. Fakty te naprowadziły Radziszewskiego na myśl, że pochodzenie nafty możnaby przypisać zgniłej fermentacji roślin morskich. W ubiegłych epokach geologicznych, kiedy doliny krośnieńska i sanocka zalane były morzem, nagromadziły się potężne pokłady wodorostów, zawierających w swych tkankach znaczne ilości bromu i jodu. Wskutek powolnej fermentacji szczątków tych pod wodą morską, powstaje nafta oraz gazy, głównie z bezwodnika węglowego i gazu błotnego złożone. Woda nasycona temi gazami wypłukuje następnie chlorek sodu, jod i brom i występując na powierzchni ziemi tworzy źródła słono-alkaliczne; stąd jasny związek między pokładami nafty a źródłami leczniczymi Galicyi. Poglądy swoje poparł Radziszewski szeregiem świetnych eksperymentów nad szlamem i wodorostami morza Adryatyckiego.

Ze pochodzeniem roślinnym nafty oświadczył się również dawniej Windakiewicz, nadinspektor kopalni naftowych, oraz prof. lwowski Kreutz, który za źródło nafty galicyjskiej uważa drzewa lądowe, naniesione falami morskimi do zatok, a obfitujące w części żywiczne.

Więcej prawdopodobne wydają mi się jednak teorie, przypisujące początek nafty szczątkom

zwierzęcym ubiegłych epok, a zatem potężnym ławicom mięczaków, a zwłaszcza ryb, które, jako obfitujące w tłuszcz, doskonale nadają się do tego celu. Reprezentantami tej teorii są Höfer, znakomity geolog i chemik, Fraas i Bertels. Nadto poglądy te znalazły w nowszych czasach potężne poparcie w badaniach Englera, który z tranu rybiego przez destylację pod ciśnieniem 20—25 atmosfer a w temperaturze 365—420°C otrzymywał oleje zupełnie analogiczne do oleju skalnego.

Krople nafty, występujące w skorupach niektórych mięczaków morskich, wreszcie ropa naftowa, wypacająca się na rafach koralowych, wszystko to przemawia również na korzyść zwierzęcego pochodzenia oleju skalnego.

Niewątpliwie zamiast szukać pochodzenia nafty w sylurze lub w epoce węglowej, daleko racjonalniejszym jest przyjęcie materiału, z którego nafta powstać mogła, w tych warstwach, w których ona rzeczywiście najobficiej występuje t. j. w górnym eocenie i oligocenie. Tak też czyni Szajnocha, za materiał ropy galicyjskiej przyjmując łupki menilitowe dolnego oligocenu, smoliste, brunatne lub czarne, które ciągną się potężnym pasem od Nahujowic przez Borysław i Truskawiec¹⁾. Łupki te analizowane przez Frankensteina z Karlsruhe dostarczyły do 10% materii organicznej, z których można było ropę sztuczną wytworzyć. W łupkach Schodnicy ilość żywicznych części dochodziła 16, a w niektórych okolicach Borysławia nawet 30%, a łupki takie są zupełnie czarne i palą się kopącym płomieniem, z zapachem ropy. Ponieważ większość pokładów łupków dochodzi nieraz od 20 do 100 lub 150 m., więc niema powodu przypuszczać, aby materiał ten był zbyt skąpy dla wytworzenia potężnych pokładów nafty Galicyi.

Części organiczne łupków, z których nafta powstać miała, składają się z najrozmaitszych szczątków ryb morskich, jak to wykazali już w roku 1865 Foeterle i Posepny. Wogóle w łupkach oligocenicznych, jak w całym zresztą flyszu karpacim, szczątków organicznych nie brak. Skorupy małży, łuski rybie, zęby rekinów świadczą, że w epokach oligocenicznych doliny podkarpackie zalewał potężny, niezbyt głęboki ocean, którego obfita fauna dała początek rozległym pokładom nafty galicyjskiej.

(c. d. n.).

Dr. Ludomira Biegańska.

¹⁾ Kosmos 1881 r. Rud. Zuber: Kilka uwag nad Dr. Olszewskiego teorią pochodzenia nafty.

²⁾ Zuber. l. c.

¹⁾ Szajnocha: Über die Entstehung des Karpathischen Erdöls, 1899 r.





Fot. Z. Sosnowski.

Olbrzymi ostrożeń.

W Zakopanem, na torfiastych łąkach, pomiędzy regłami a samą osadą, wyrastają dość obficie tak zwane powszechnie „osty”. Jeden z nich zwracał na siebie uwagę swą znaczną wysokością na łące na lewym brzegu potoku Fóluszowego nawprost willi „Polanka”, gdzie przed kilku laty była czytelnia. Dzięki uprzejmości p. Bohdana Dyakowskiego, który miał potrzebne książki, określiliśmy go jako *Carduus palustris* L. *Cirsium palustre* Scop.—ostrożeń błotny. Berdau w swej florze Tatr pisze, iż gatunek ten rozrasta się bardzo wspaniale i dochodzi do 2 metrów wysokości. Nasz okaz przerósł tę maksymalną normę, bo miał 223 centm.

Zrobiono zdjęcie z tego pięknego okazu, jak się okazuje w sam czas, gdyż w dniu następnym już go nie było.

P. S.



Maryja Konopnicka.

Pękła zerwana struna życia. Jęk poszedł po ziemi polskiej, po sercach polskiego ludu. Na tych sercach, jak na złotostrunnej lutni, grała wielka poetka błogostawiony hymn umiłowania. Bezgraniczna miłość, bezbrzeżne ukochanie szło z Jej czystego serca. Macierzyńskie ukochanie dla wszystkich biednych i wydziedziczonych, dla troski i niedoli, dla uciemiężonych i zboląłych, dla chłopskiej chaty omszałej.

Oj ty chato, ty pochyła,
Siłaś przeszła, zniosłaś siła,
Aż zakłęsnął dach piastowy
Nad niedolą twojej głowy
Nad siwemi sny...

Bo nie było w wieków dobie

Ni jednego dzionka tobie,
Ni wieczora, ni zarania,
Bez ścian twoich narzekania
Stara chato ty!

I nie było jednego momentu w życiu narodu, aby jak królewski manifest nie ukazał się Jej mocny stalowy głos, Jej pismo do swoich i obcych w krwi serdecznej skąpane. I z serc narodu zbudowano Jej królewski, wieszczy tron. Za serce płacono miłością synowską, czią i uwielbieniem. Za ukochanie całej ziemi polskiej — cała Ją ziemia za Panią miała, za Panią władną, za Matkę ukochaną. Garnęła ku swemu sercu miłość narodu i przetapiała tę surową rudę na czyste złoto godności ludu, jego wielkości i życia.

A na królewskim swym tronie kapłanką była Miłości, Wiary i Nadziei. Miłości mocą była, co na swym niebie, nie widzi nigdy— siebie, lecz tkliwem uczuciem ogarnia miliony braci, boleje nad morzem łąz, wsiakających w ziemię, nad echem jęku z uciśnionej piersi, nad chmurą trosk, co zaciąga czoła nieszczęsnego ludu. Wiara Jej była ufność w tryumf prawdy i sprawiedliwości, w zwycięstwo wielkich myśli i wielkich idei. Wierzyła w jasną zorzę przyszłości, w promienne jutro, co grać będzie nowych dni hejnały; wierzyła, że w czasie nie ginie nigdy trud przebyty, ani energii przerobionej suma. W tej wierze płonąła sama na ofiarnym ołtarzu idei ze czcią dla walczących o lepsze jutro.

Ty, coś walczył dla
idei
Chwała Ci.
Boś wykrzesał z twej
nadziei
Nawskroś burzy
i zawiei
Jasne dni!

Te jasne dni przyszłości czyniły z Niej kapłankę nadziei, a ołtarz tej nadziei stawiała Konopnicka w chacie chłopskiej, pod słomianą strzechą.

Nadzieją Jej było, że nadchodzi szybko dzień cudu, dzień postrzyżyn ludu z niemowlęctwa w młodzieńczy, twórczy rozmach, gdy „prastarego wieją wonie cudu: w słońce spojrział ślepy syn narodu, w słońce spojrział duch mojego ludu!”

Tą nadzieją upojona była Konopnicka. Ta nadzieja w oczach Jej się ściąła. Gdy darmo marzył Mickiewicz, aby dożyć tej pociechy, by książki Jego dotarły pod strzechy — na jubileuszu Konopnickiej zasiadali do wspólnej uczyty chłopi, a wzruszona chłopka krakowska, gospodyni w kraciastej chustce z perłami łąz na wzruszonej twarzy chwyciła silnie Poetkę za szyję i szlochając, pokrywała twarz Jej pocałunkami. Zaiste żaden poeta polski takiego nie dostąpił zaszczytu i szczęścia.

Ostatnim też wielkim dziełem twórczości Poetki było nie co innego, tylko epopeja chłopska „Pan Balcer“, śpiżowy pomnik, wzniesiony bólom i cierpieniom ludu polskiego, jego czarnej dole i tęsknocie, epopeja, w której zaklęte są wszystkie czary geniuszu Konopnickiej, a na ich czele żywiołowa, bezmierna i bezgraniczna miłość ziemi:

Hej, ziemio, ziemio, ty matko rodzona!
Łanie ty wdzięczny i rolo życzliwa!
Ziemio ty nasza! Cóż nam się ostało?
Jeno ty sama i twe miłowanie!
Choćbym Cię ojcem nazwał—jeszcze mało...
I choćby matką, jeszcze mi nie stanie,
Boś ty jest wszystko! I dusza i ciało,
I ród, i życie — wszystko w twojem mianie!

Al. Janowski.





Na progu.

Jako przedmowa do ludowego wydania swych poezyi.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach —
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w naszych poddaszach i chatach
Niełatwo przed wzruszeniem serca przyjąć do słowa.

Gdzie my od was odbiegli, gdzieście wy zostali?
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj wielcy, a wy czemu — mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my was szukamy,
Bośmy może winniejsi, ach! i bardziej smutni...

Marya Konopnicka.



Z Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.



W celu nadania zebraniom miesięcznym Towarzystwa większej niż dotychczas planowości Zarząd ułożył następujący program referatów, zapraszając do opracowania ich i wygłoszenia na zebraniach Towarzystwa następujące osoby:

- W. Jacuński — „Dziedzictwo epoki lodowcowej w Polsce”.
- M. Wisznicki — „Piękno naszego kraju”.
- K. Rakowiecki — „Pamiętki po królowej Jadwidze”.
- L. Ostaszewski — „Półwysep Birsztiański”.
- S. Weigelt — „Zamki biskupie w Małopolsce”.
- A. Janowski — „Krajoznawstwo w starych kronikach”.
- P. Sośnowski — „O Jurze Krakowskiej”.

Pozatem podjęli się przygotowania referatów na dowolne tematy pp. K. Stołyhwo i W. Wróblewski.

Poza referatami tymi, które wypełnią zebrania miesięczne w sezonie zimowym i wiosennym, okazywane będą obrazy z różnych okolic kraju i składane sprawozdania ilustrowane z odbytych wycieczek krajoznawczych.

Dnia 5 b. m. odbyło się zebranie miesięczne Towarzystwa w wielkiej sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie pod przewodnictwem p. K. Kulwiecia.

Poza sprawozdaniem z działalności Zarządu prof. W. Jacuński wygłosił piękny odczyt, ilustrowany mnóstwem pięknych przezroczy, na temat „Skarby polskie w Karpatach”.

W ciągu miesięcy letnich zbiory Towarzystwa znacznie się zwiększyły.

Do Muzeum przybyło:

w dziale fauny krajowej	15 okazów
w dziale flory 70
w dziale mineralogii 95
w dziale etnografii 128
w dziale archeologii i numizmatyki 21
Razem 329 okazów.

Zbiorom bibliotecznym przybyły 94 dzieła w 156 tomach.

W najbliższym czasie Komisya Wycieczkowa zapowiada następujące wycieczki z Warszawy:

W niedzielę dnia 16 października 5-ta wycieczka podmiejska za rogatkę Mokotowską, a w Niedzielę 23 października 6-ta wycieczka podmiejska za rogatkę Belwiderską. Ostatnia wycieczka jesienna odbędzie się w niedzielę 16 października r. b. do Nato-



lina. Park natoliński zamknięty jest dla publiczności, jednakże Ks. hr. Branicki, właściciel Wilanowa, dał uprzejme zezwolenie dla Towarzystwa na zwiedzenie parku. Wycieczka wyruszy o 9 rano kolejką do Wilanowa, a stamtąd pieszo do Natolina. Prowadzi wycieczkę p. Rakowiecki. Ceny po 30 k. dla młodzieży, 45 dla członków i 60 kop. dla gości.

Powodzenie zeszłorocznych wycieczek miejskich według Seryi A. „Staromiejskiej” i Seryi B. „Świętokrzyskiej”, skłoniło komisję do zorganizowania nowej wycieczki pod nazwą Serya C., a obejmującej zwiedzenie cmentarza powązkowskiego.

Wycieczki według Seryi C. odbędą się w niedzielę: Pierwsza taka wycieczka odbyła się 9 października pod przewodnictwem p. Wandy Stokowskiej, następne odbędą się: 23 października pod przewodnictwem p. Al. Janowskiego, 30 października pod przewodnictwem p. Kazimierza Maszkiego. Wycieczki rozpoczynają się będą od godz. 9 rano, od Kościoła Powązkowskiego. Ceny po 15, 20 i 30 kop.

Dnia 2 października odbyła się zapowiadana wycieczka do Żelazowej Woli. W cudny słoneczny jesienny dzień ruszyła wycieczka do Sochaczewa, gdzie na dworcu czekał członek korespondent Towarzystwa p. Franciszek Turkowski. Z dworca udali się wycieczkowicze do Żelazowej Woli piechotą, a częściowo na wozach, które nadesłali obywatele okoliczni pp. Bojasiński, Gawroński i Smoliński. W Żelazowej Woli przewodnik wycieczki przemówił parę słów ku czci Chopina, poczem zwiedzano park i oficynkę, w której mistrz się urodził. Oficynka ta znajduje się w zaniedbaniu i grozi jej ruina.

Po dwugodzinnym wypoczynku ruszono do Trojanowa, leżącego przy ujściu Utraty do Bzury. Właściciel Trojanowa p. Wincenty Gawroński przyjął wycieczkę z całą serdeczną gościnnością; herbata, mleko oczekiwały na turystów, lecz ci oblegli głównie wielkie kosze jabłek i gruszek, które gościnny gospodarz ze swoich sadów dostarczył. Po wypoczynku zasiadła wycieczka dookoła dworu. Do Żelazowej Woli przybyła też wycieczka z Oddziału Łowickiego w liczbie 30 osób, przeważnie pań. Wycieczka przybyła końmi z Łowicza do Trojanowa, a następnie pieszo. Młodziutkie turystki czuły się doskonale, a gdy siadały gromadką na zieleni murawy w swych białych grzybkach na głowach, aby wysłuchać przemówienia dyr. Henryka Opieńskiego „o życiu i twórczości Chopina”, wyglądały istotnie jak grupka żywych grzybków. Był to uroczy, nigdy niezapomniany moment: słońce jesienne złoćmiło drzewa uroczego parku, drżały astry i złocenie od lekkiego wiatru, czysty błękit pokrywał lazurową kopułą uroczy zakątek ziemi mazowieckiej i zasłuchaną gromadkę turystów. Grzmiące oklaski zmąciły ciszę po przemówieniu, następnie podziękowano gospodarzowi za jego serdeczną gościnność, pożegnano odjeżdżających Łowiczan i ruszono z powrotem do Sochaczewa na stację, skąd o 6.15 ruszył pociąg do Warszawy. Różne „przezióreczki”, „lipki zielone”, „wędrujemy borem lasem” i inne brzmiały przez cały czas podróży, a o 8 żegnano się w Warszawie z żalem, że już się ten piękny dzień skończył.

Osób było z Warszawy 120, z Łowicza 30, razem 150, przewodniczył p. Al. Janowski.

□□□□□□□□□□

Z piśmiennictwa.

W ostatnim dwóch zeszytach poświęconego sprawom kaszubskim „Gryfa” — sierpniowym i wrześniowym — znajdujemy w artykule „Germanizatorzy a ruch młodokaszubski” wiadomość o budzącem się w niektórych sferach niemieckich oburzeniu przeciwko założonemu przez d-ra Lorentza z Kartuz i nauczyciela Gulgowskiego ze Wdzydz Towarzystwu dla ludoznawstwa kaszubskiego (Verein für Kaschubische Volkskunde). Ścisłe przedmiotowa działalność Towarzystwa wydaje się podejrzana, żeby nie powiedzieć nienawistna, ludziom, pragnącym nawet naukę naginać do celów płytkiego fanatyzmu politycznego. W zakończeniu wspomnianego artykułu mocno a gorąco zaznacza redakcja: „Przypuszczano przez krótki czas, że my Kaszubi jesteśmy już trupem, na którym można sekcję nauką przeprowadzić, katologizować jego części, umieścić w spiryтуsie i pisać o nich uczone rozprawy. Mniemano, że jesteśmy jak ów czarny głaz, w formie trumny z napisem „Monumentum ducum Pomeranorum”, który stał dawniej przed wielkim ołtarzem kościoła pocysterskiego w Oliwie. Kamień ten usunięto w boczną nawę, aby nie zawadzał, bo jest martwym. My atoli jeszcze żyjemy i nie damy się usunąć z przed oblicza ołtarza, aby głośno zaświadczyć wobec Boga i ludzi, że jeszcze żyjemy i żyć chcemy”.

I jakby w konsekwencji słów powyższych nawołuje „Gryf” w zeszycie następnym żarliwie do zajęcia się zamierającym sprzętarstwem kaszubskim, do przejęcia ze słabnących rąk przemysłu domowego swoich a niezwykle oryginalnych motywów, któreby można wskrzesić i zaszczerpić na mocniejszym pniu przemysłu artystycznego, pojętego pod względem sposobów produkcji bardziej współcześnie.

Na pozostałą treść składają się śliczne jak zawsze piosenki i baśnie kaszubskie, wprost z ust twórców ludowych wyjęte, dalszy ciąg „Zdań o stosunku językowym ludności kaszubskiej do polskiej”, obszerniejsze studium ks. J. K. Kantaka: „Stowacki i Pomorze” i sprawozdanie z wydanego świeżo zbiorku poezji kaszubskich Wósia Budzysza — „Nowotne spiewe”. Trudno się nawet w tej najpobieżniejszej wzmiance nie zatrzymać bodajby na chwilę przy strofice, w której wyrosły jak kwiat polny na piaszczystym gruncie nadmorskim poeta wyrzuca współbraciom swoim zaprzepaszczenie obyczaju i pieśni swych ojców.

„Za to, żeśta pochowali
Nasze piesnie, nasze spiewe
Za to kjttną wama wrzose,
Za to wiedzłą wama sêwê!
Za to Pąnbóg waju kôrze
Wszêdze:—w polu, łące, borze!”

I choć być może obyczaju tego wobec naporu ścierających się fal nikt i nic już uratować nie zdoła, wart



on większej uwagi choćby ze strony tych, co rokrocznie zalewają tłumną rzeszą bursztynowe wybrzeże, przywołując stamtąd niemieckiego gościńca i spostrzeżenie, że... kaszubów tam nie dostrzegli. Jeśli słuszne jest szczeplić rodzinie motywy zdobnictwa na pniu swojego przemysłu, słuszniesze będzie nie zatracić tych skarbów ducha i poezji walczącego rozpaczliwie o byt swój ludu. Czytajcie „Gryfa”.

T-t.

□□□□□□□□□□

Kronika Krajoznawcza.

+ O pomyślnym rozwoju szkolnictwa średniego w Galicyi świadczą wymownie poniższe cyfry, podane świeżo przez dzienniki krakowskie.

W roku szkolnym 1908/1909 było w Galicyi, licząc ogółem niecałe 8 milionów mieszkańców — 51 gimnazyów, — z tych w ciągu roku przybyło 5 nowych zakładów, mianowicie VIII gimnazjum we Lwowie, II gimn. w Nowym Sączu, gimn. II w Tarnopolu, gimn. w Myślenicach i w Żółkwi. Oprócz zakładów głównych istniały jeszcze 4 filie zakładów z osobnym etatem i kierownictwem.

Według języka wykładowego było pięć gimnazyów z językiem wykładowym ruskim, mianowicie w Kołomyi, Przemyślu, Stanisławowie, Tarnopolu i akademickie we Lwowie. Gimnazyja w Brzeżanach i w Stryju były ułtrawistyczne. Jedno gimnazjum we Lwowie miało język wykładowy niemiecki.

Prócz tych zakładów publicznych było jeszcze 6 zakładów prywatnych męskich i 8 zakładów żeńskich. Z wyjątkiem gimnazyum SS. Bazylanek we Lwowie, wszystkie miały język wykładowy polski.

Jeśli przejdziemy myślą cyfry rozwoju gimnazyów galicyjskich w ostatnich 10 latach t. j. od roku 1899 do 1909 przekonamy się, że liczba gimnazyów z 30 podniosła się na 51. Ten w porównaniu z ubiegłymi latami silny przyrost liczebny zakładów średnich — wywołał równocześnie bardzo silny napływ młodzieży do szkół, który osłabł dopiero w ciągu ostatnich dwu lat. Podczas gdy w r. 1906/7 przyrost roczny w gimnazyjach wynosił 1845 uczniów, w roku 1907/8 wynosił tylko 822, zaś w r. 1908/9 tylko 703 uczniów. Ogółem uczęszczało do szkół średnich (gimnazyów) w 1908/9

roku 30,698 uczniów. Najlepszą ilustracją tego spełnienia w gimnazyjach jest fakt, iż 35 gimnazyów, a więc więcej niż połowa, ma ponad 500 uczniów. Trzy gimnazyja, t. j. akademickie we Lwowie, — IV i w Stryju mają po 1287, 1141, 1169 uczniów, pięć gimnazyów ma ponad 800 uczniów, osiem ma ponad 700, dziewięć ponad 600 i dziesięć ponad 500.

Jeśli mowa o frekwencji szkół średnich, na jedno jeszcze wypada zwrócić uwagę t. j. na frekwencję według wyznań uczniów. Było więc katolików 15.580 (55.2 prc.), grecko-katolickich 6.318 (22.4 prc.), żydów 6.105 (21.6 prc.). Charakterystyczne jest, że gimnazyja ruskie są prawie zupełnie wolne od żydów.

Wedle narodowości biorąc, było 77.6 prc. Polaków, 21.7 prc. Rusinów, a niecały 1 prc. Niemców i Czechów.

W ubiegłym roku szkolnym przybyło Galicyi 5 nowych szkół państwowych, mianowicie gimnazya w Gródku Jagiellońskim, Brzozowie, Kamionce Strumiłowej i szkoły realne w Tarnobrzegu i Rawie Ruskiej, a ryczałtowe kwoty wstawione do budżetu państw. na rok 1910 upoważniają do nadziei, że w roku szkolnym 1910/11 przybędą trzy nowe szkoły średnie państw., mianowicie gimnazjum w Tłumaczu i w Łańcucie i szkoła realna w Wieliczce.



+ Zamek króla Jana Sobieskiego w Złoczowie w Galicyi Wschodniej, w którym mieszczą się więzienia, ma być, jak donoszą pisma lwowskie, użyty na inny cel, bardziej właściwy. Sprawą tą zajęło się „Polskie Tow. Narodowe“ w Złoczowie.



+ Majątek naddniestrzański Prelipcze na Bukowinie, obejmujący 1,000 m. najżyźniejszej roli, odziedziczony przez p. Wiesiołowską, z domu Łukasiewiczównę, sprzedano w tych dniach milionerowi żydowskiemu, Mołto Fischerowi.

Kurczy się więc gwałtownie ziemia polska na Bukowinie. W jednym roku sprzedali pp.: Bohosiewicz i Brodowski swe majątki rusinom, a p. Wiesiołowska żydom na parcelacyę.



TREŚĆ: *Wacław Nałkowski* — Polska, jako kraina przejściowa (2 mapy); *St. Thugutt* — Z dziejów Krakowskiego Przedmieścia (d. c.) (z 1 ilustr.); *Paweł Sosnowski* — Karpaty (z 4 ilustr.); *Dr. Ludomira Biegańska* — „Nafta i wosk ziemny w Galicyi“ (d. c.); *P. S.* — Olbrzymi ostrożeń (z 1 ilustr.); *Al. Janowski* — Maryja Konopnicka (portret); *Maryja Konopnicka* — „Na progu“; Z Towarzystwa Krajoznawczego. — Z Piśmiennictwa. — Kronika Krajoznawcza.

Winięte tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki — Odbito w tłoczni Piotra Laskauera. — Składał i zamał Józef Miałan. — Odbijał na maszynie Ignacy Kotasiński. — Klisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.

Redaktor i Wydawca **Kazimierz Kulwiec.**